



do berlinki i z powrotem"). Te ostatnie z zaproponowanych nazw nawiązują do biografii autorów, którzy urodzili się (prawie) w tym samym roku w Szczecinie, a początku lat 80. wyjechali do Niemiec (zachodnich), po latach zamieszkali w Berlinie (zjednoczonym), dziś jedną nogą na powrót znajdują się czy raczej funkcjonują w rodzinnym mieście, współtworząc środowisko artystyczne związane z dwumiesięcznikiem „Pogranicza”. I żeby była pełna jasność: urodzili się, wyjechali, zamieszkali i funkcjonują jednak osobno. Wbrew pozorom, nie są rodzeństwem ani małżeństwem.

Anioły i świnię. W Berlinie! Brygidy Helbig oraz *Czas przeprowadzki* Krzysztofa Niewrzędy czytelnym zachłannie, jednym tchem. Z kilku powodów. Tę pierwszą rzecz głównie dlatego, że bezzwłocznie chcieliśmy się dowiedzieć, jaka jest dziś proza autorki *Pałowy*; proza, która tak ładnie zakiełkowała przed pięcioma laty, czyli w chwili ukazania się debiutanckiej powieści Helbig (*Pałowy* właśnie). Z kolei zachłanna lektura książki Niewrzędy stała, że byłem ciekaw, jak też autor dopełni i zamknie kreowaną od kilku lat na łamach prasy literackiej mitologię berlińską. Był również powód bardziej ogólny. Otóż od dłuższego już czasu przyglądam się zdarzeniom, które zachodzą w „niemieckiej literaturze polskiej”. Próbuję wyłapać nowe jakości i sygnały stamtąd dochodzące. Czy pojawiły się tym razem? O tym za chwilę. Najpierw o samym fenomenie.

W minipowieści Brygidy Helbig czytamy: „Na początku lat osiemdziesiątych Republika Federalna importowała z Polski kilka pociągów młodych, żądnych przygody i dobrobytu ludzi” (s. 12). Kilka pociągów – bądźmy precyzyjni – to wyjechało z jednej dzielnicy Szczecina, nie zaś z całego kraju. W tej gigantycznej armii składającej się z mniej lub bardziej groteskowych pseudofolksdojczów („powoływane się na rzekome niemieckie pochodzenie”; tamże, s. 19) oraz autentycznych azylantów (bez ziadków z Wehrmachtu) znalazło się sporo interesujących osób, które dużo dobrego wniosły do literatury ostatniego piętnastolecia. Niektórzy z nich zaistnieli nawet w literaturze niemieckojęzycznej (Artur Becker, Radek Knapp, Dariusz Muszer), ale to osobne zjawisko o charakterze ciekawostki. Rozmawiać te przygody się rozwijały –

mówmy wyłącznie o piszących po polsku – bo 73 74 o ludziach. Różnice są o wiele głębsze. Autor też z różnymi twórcami mieliśmy do czynienia. Niewiele przecież łączy autorów tak różnych, jak Janusz Rudnicki, Natasza Goerke czy – z innej bajki – Stanisław Bieniasz. Łączy czy łączyło? Chyba jednak to drugie, gdyż fenomen „niemieckiej literatury polskiej” wszedł w zupełnie nową fazę. Z jednej strony twórcy „trans-odrzańscy” rozproszyli się lub – jak na przykład Krzysztof M. Załuski – zamikili, ich kolejne „listy z Hamburga” mało kogo dziś przejmują, z drugiej zaś strony pojawiła się zupełnie nowa jakość, czyli zjawisko dostarczania produktów literackich powstałych w Polsce wprost na rynek niemiecki (tu dwie ostatnie powieści Pawła Huellego, które nawet w polskim oryginale mają niemieckie tytuły... *Mercedes-Benz*, *Castorp*, a dalej pewnie *Junkers*, *Siemens* lub *Panzerfaust*; *Finis Silesiae* Henryka Wańka – by ograniczyć się do najbardziej wyrazistych przykładów).

Wracam do pytania, czy berlińskie książki szczecinian w jakikolwiek sposób modyfikują zastany układ „trans-odrzański”? Poniekąd odpowiedziałem we wstępnych dopisaniach. I tak Niewrzęda próbuje nas przekonać, że Berlin to peryferyjna dzielnica Szczecina, Helbig natomiast przedstawia nader pouczającą historię Giseli Stopy. Ta, jak czytamy, „istota z kielbasy, legitymująca się pochodzeniem niemieckim, przyznającym jej na podstawie sfingowanych zeznań świadków” (s. 14) przeszła długą drogę – od poniewierki w obozie dla przesiedleńców, poprzez studia slawistyczne w Bochum, aż do tytułu profesorskiego i uprzywilejowanej pozycji na berlińskim Uniwersytecie Humboldta. Jest to zatem historia awansu społecznego, tyle że radykalnie zironizowana, jak gdyby wzięta w nawias, w jakiejś mierze unieważniona. Niewrzęda opowiada nam piękną bajkę o Szczecinie, który ma metro, że dwa lotniska i tysiące instytucji kulturalnych. Helbig daje persyflaż, opowiadając wpatując w siebie, kwestionując to, co przedstawia. Wstępny wniosek nasuwa się tedy sam: na Zachodzie bez zmian.

Wyraźnie chcę zaznaczyć, że odnoszę się tutaj do dwu bardzo różnych książek. Nie chodzi o różnice gatunkowe czy formalne, nie idzie nawet o to, że rzecz Niewrzędy jest opowieścią o mieście, a Helbig o ludzkości. Różnica jest o wiele głębsza. Autor też z różnymi twórcami mieliśmy do czynienia. Niewiele przecież łączy autorów tak różnych, jak Janusz Rudnicki, Natasza Goerke czy – z innej bajki – Stanisław Bieniasz. Łączy czy łączyło? Chyba jednak to drugie, gdyż fenomen „niemieckiej literatury polskiej” wszedł w zupełnie nową fazę. Z jednej strony twórcy „trans-odrzańscy” rozproszyli się lub – jak na przykład Krzysztof M. Załuski – zamikili, ich kolejne „listy z Hamburga” mało kogo dziś przejmują, z drugiej zaś strony pojawiła się zupełnie nowa jakość, czyli zjawisko dostarczania produktów literackich powstałych w Polsce wprost na rynek niemiecki (tu dwie ostatnie powieści Pawła Huellego, które nawet w polskim oryginale mają niemieckie tytuły... *Mercedes-Benz*, *Castorp*, a dalej pewnie *Junkers*, *Siemens* lub *Panzerfaust*; *Finis Silesiae* Henryka Wańka – by ograniczyć się do najbardziej wyrazistych przykładów).

Wracam do pytania, czy berlińskie książki szczecinian w jakikolwiek sposób modyfikują zastany układ „trans-odrzański”? Poniekąd odpowiedziałem we wstępnych dopisaniach. I tak Niewrzęda próbuje nas przekonać, że Berlin to peryferyjna dzielnica Szczecina, Helbig natomiast przedstawia nader pouczającą historię Giseli Stopy. Ta, jak czytamy, „istota z kielbasy, legitymująca się pochodzeniem niemieckim, przyznającym jej na podstawie sfingowanych zeznań świadków” (s. 14) przeszła długą drogę – od poniewierki w obozie dla przesiedleńców, poprzez studia slawistyczne w Bochum, aż do tytułu profesorskiego i uprzywilejowanej pozycji na berlińskim Uniwersytecie Humboldta. Jest to zatem historia awansu społecznego, tyle że radykalnie zironizowana, jak gdyby wzięta w nawias, w jakiejś mierze unieważniona. Niewrzęda opowiada nam piękną bajkę o Szczecinie, który ma metro, że dwa lotniska i tysiące instytucji kulturalnych. Helbig daje persyflaż, opowiadając wpatując w siebie, kwestionując to, co przedstawia. Wstępny wniosek nasuwa się tedy sam: na Zachodzie bez zmian.

Wyraźnie chcę zaznaczyć, że odnoszę się tutaj do dwu bardzo różnych książek. Nie chodzi o różnice gatunkowe czy formalne, nie idzie nawet o to, że rzecz Niewrzędy jest opowieścią o mieście, a Helbig o ludzkości. Różnica jest o wiele głębsza. Autor też z różnymi twórcami mieliśmy do czynienia. Niewiele przecież łączy autorów tak różnych, jak Janusz Rudnicki, Natasza Goerke czy – z innej bajki – Stanisław Bieniasz. Łączy czy łączyło? Chyba jednak to drugie, gdyż fenomen „niemieckiej literatury polskiej” wszedł w zupełnie nową fazę. Z jednej strony twórcy „trans-odrzańscy” rozproszyli się lub – jak na przykład Krzysztof M. Załuski – zamikili, ich kolejne „listy z Hamburga” mało kogo dziś przejmują, z drugiej zaś strony pojawiła się zupełnie nowa jakość, czyli zjawisko dostarczania produktów literackich powstałych w Polsce wprost na rynek niemiecki (tu dwie ostatnie powieści Pawła Huellego, które nawet w polskim oryginale mają niemieckie tytuły... *Mercedes-Benz*, *Castorp*, a dalej pewnie *Junkers*, *Siemens* lub *Panzerfaust*; *Finis Silesiae* Henryka Wańka – by ograniczyć się do najbardziej wyrazistych przykładów).

Czasu przeprowadzki stawia na podobieństwa, autorka *Aniołów i świnię* – odwrotnie: interesują ją wyłącznie niepodobieństwa. Jeden rozprawia o swojskości, druga o obcości, i to w wielu możliwych zakresach. W miejscach, w których ich opowieści się stykają, mówią dokładnie co innego. U Niewrzędy czytamy: „O prawdziwym sąsiedztwie miałem jedynie mgliste wspomnienia z Polski. Byłem więc zaskoczony, gdy okazało się, że w Berlinie panują podobne do polskich zwyczaje. Ze sąsiad od sąsiada może na przykład coś pożyczyć. W Bremie przed dwadzieścia lat nikt nic ode mnie nie pożyczył” (s. 59). U Helbig: „Gisela zamieszkała w blokowisku w centrum świeżo posklejanego Berlina (...). Pierwszej nocy wyrwał ją z łóżka sąsiadka w korytarzu gość. Walił do drzwi i krzyczał: »Otwierac, otwierac, muszę srać«. To znowu z mieszkania obok ktoś wyrzucił przez okno całe świeżo wyjęte z automatu pranie” (s. 40). Dla ścisłości dodam, że tych dwoje bohaterów mieszka w dość podobnych dzielnicach Berlina, raczej kiepskich dzielnicach. Różnica sprowadza się jedynie do punktu widzenia: Niewrzęda zapewnia, że mu dobrze, bohaterka Helbig, że niekoniecznie.

Nazywam opowieść Krzysztofa Niewrzędy piękną, uroczą bajką, lecz niczego nieprzyjaznego nie mam na myśli. Przeciwnie! Byłoby cudownie, gdyby owa bajka miała coś, a najlepiej wiele, wspólnego z rzeczywistością. Leci ona mniej więcej tak: jako szczecinianin młodziutki Niewrzęda często bywał we wschodnim Berlinie, stolicy NRD. Na zakupach, wagarach, dla przygody. Po przeprowadzce do tego miasta powiada: „odnalazłem tu sporo miejsc wypełnionych moją prywatną historią” (s. 48). I nieco dalej: „Najważniejsze jest dla mnie to, że Berlin przypomina mi Szczecin” (tamże). Jest jeszcze trzeci węzeł: do stolicy zjednoczonych Niemiec autor przybywa po latach spędzonych w północnej, deszczowej, hanzeatyckiej Bremie, gdzie czuł się po prostu źle; za dużo Niemiec w Niemczech, zbyt wiele uporządkowania i dyscypliny. Trzy węzły zatem: nostalgiczny (po wrót do przestrzeni pierwszych wtajemniczeń i uniesień), tożsamościowy (Berlin to ciut inny Szczecin; można tam się czuć jak

u siebie) i antyniemiecki (Berlin najmniej zniemczonym miastem Niemiec). To argumenty *stricte* prywatne. Są i mniej osobiste.

Po pierwsze, według autora *Czasu przeprowadzki* Berlin to obszar anarchii i ciągłego manifestowania najróżniejszych swobód (ponad dwa tysiące zdarzeń ulicznych w ciągu roku – zob. s. 73). Po drugie, to przestrzeń odrobiny zaniedbana, „niedorobiona”, tu i ówdzie nawet nieco „zdziczała”, co wielce sobie Niewrzęda ceni. Po trzecie, to miasto bez centrum, a właściwie z wieloma różnymi centrami. A jak bez centrum, to i bez władzy. Wreszcie, po czwarte i chyba najważniejsze, Berlin, jaki wyłania się z książki Krzysztofa Niewrzędy, to miasto kultury, gdzie codziennie mnóstwo się dzieje; setki zdarzeń artystycznych i atrakcji duchowo-intelektualnych, przy czym większość z nich – przekazuje nasz berlińczyk – ma charakter alternatywny, kontrkulturowy, undergroundowy etc.

Rzecz wamienna – w tej rozbudowanej wylizance praktycznie nie pojawiają się żadne wątki ekonomiczne, socjalne czy – by tak rzec – konsumpcyjne. Wyjątkiem fragment eseju *Berliński folklor*, w którym Krzysztof Niewrzęda pisze o przereklamowanej i opanowanej przez bogatych snobów „alternatywnej” dzielnicy Pranzlauer Berg, gdzie panuje niczym nieuzasadniona drożyzna. Z *Czasu przeprowadzki* nie dowiadujemy się, czym się zajmuje autor, co – poza podziwianiem miasta, wizytami w galeriach i salach koncertowych – robi. Chłonie berlińskie dobra, a więc zapewne dysponuje nadwyżką wolnego czasu, a tę przecież się kupuje. Czy jest rentierem? Czy próbuje przemycić wielce ryzykowną sugestię, że udział w przegobętej, kosmopolitycznej kulturze berlińskiej jest całkowicie darmowy? Cicero nie oprowadzający nas po atrakcjach niemieckiej stolicy mówi o instytucjach i placówkach kultury tak, jakby mówił o przyrodzie, o dobrach istniejących na wyciągnięcie ręki, o darze natury dla wszystkich. Wystarczy doświadczać. Poza jakąkolwiek ramą ekonomii czy konsumpcji. Piękna utopia!

Tymczasem staje mi przed oczyma kartka pocztowa, jaka przed laty nadeszła z Berlina Zachodniego. Przedstawia kłozarda siedzącego na gazetach i obalającego flaszkę na tle muru berlińskiego. W komiksowej chmurce

umieszczono wypowiedź owego berlińskiego menela, dowcipne nawiązanie do słynnego grepsu Kennedy’ego z 1963 roku: *Auch ich bin ein Berliner* (też jestem berlińczykiem). Z kolei w wywiadzie, jakiego redaktorkom „Lampy” (2005, nr 11) udzielił Helbig i Niewrzęda, pojawia się uwaga o „alternatywnych” berlińczykach, co to zakładają „alternatywne” dzinsy, „które wyglądają jak znoszone i kosztują 400 euro”.

Właśnie w tym się wyraża bajkowość opowieści Niewrzędy. W tym konkretnie, iż anulowano tam cały niezwykle złożony problem wytwarzania, a raczej kupowania tożsamości w epoce post, w dobie wielkiego udawania, permanentnej maskarady, wszechobecnej sceny (zeszmarowane dzinsy za 400 euro). Anulowano też problem limitowanego dostępu do dóbr, stratyfikacji społecznej, podziałów klasowych i ekonomicznych. Powtórzę: autor *Czasu przeprowadzki* próbuje nas przekonać, że ogromne skarby kulturalne oraz przyjazny klimat społeczny współczesnego Berlina to coś, co istnieje obiektywnie niczym góry Schwarzwald; że to samorodek, autentyczny, z którym kontakt nie jest niczym ograniczony, zwłaszcza takimi drobiazgami (!) jak czas i pieniądze.

Zaprawdę piękną i porywającą mitologię berlińską ułożył Krzysztof Niewrzęda. Tylko komu tę bajkę opowiada?

Jak to komu? Samemu sobie! Brygida Helbig rozegrała tę partię inaczej. Uciekła w ironię i cudzość. Berlińskie bytowanie jej bohaterki to raptem wycinek ogólnej przygodności i dziwności losu. Gisela jest zresztą zbyt skoncentrowana na sobie, żeby przejmować się ofertą, jaką stwarza miasto. Nie bardzo potrafi porozumieć się ze światem mężczyźni, ani na chwilę nie przestaje wpatwić w siebie (synodrom „kielbuluda”, osoby zrobionej z kielbasy, czyli z tego, co zdaniem Niemców jest istotą polskości), ze trzy raz widzimy ją na progu załamania nerwowego. Czy to, że akurat przebywa w mieście nad Szprewą, że los rzucił ją w to, a nie inne miejsce na ziemi, ma jakieś znaczenie? Pewnie ma, tyle że niewielkie. To samo miasto, które tak uszczęśliwiła postać mówiącą w esejach Niewrzędy (prościej: samego autora przede), ani nie pomaga, ani nie przeszkadza bohaterce *Aniołów i świnię*. Gisela funkcjonuje poniekąd poza miastem,

Krzysztof Niewrzęda oddycha i rozkoszuje się miejską przestrzenią i jej urządzeniami. Pod jego piórem najzupełniej swojska to przestrzeń, wszak Berlin – jak już bodaj dwa razy zauważyłem – to peryferyjna i zarazem lepsza (więcej galerii, teatrów, klubów etc.) dzielnica Szczecina.

Ot, dwa warianty bycia berlińczykiem (ze szczecińskim rodowodem). Świetnie się te dwie szczecińskie książki uzupełniają. Ów dyptyk berliński nie modyfikuje wprawdzie układu „trans-odrzańskiego” w literaturze polskiej, ale chyba nie to było ambicją obojga autorów. Chcieli napisać coś o sobie i od siebie, a to przecież w pełni im się udało.

Dariusz Nowacki

Brygida Helbig: *Anioły i świnię. W Berlinie!* Wydawnictwo Forma Autorska. Szczecin 2005; Krzysztof Niewrzęda: *Czas przeprowadzki*. Wydawnictwo Forma Autorska. Szczecin 2005.

DIPTYK BERLIŃSKI

Nowe książki Brygidy Helbig i Krzysztofa Niewrzędy ukazały się w tym samym czasie, w tej samej oficynie wydawniczej, w jednolitym opracowaniu redakcyjnym i graficznym. W jednej i drugiej zamieszczono tę samą informację: „w serii ukazały się” (i tu dwa tytuły). Ale w jakiej serii, tego już nie wyjaśniono. Sądząc po zawartości obu książek, tę bezimienną serię można by nazwać „nasi w Berlinie” lub „Berlin dalekim przedmieściem Szczecina”, ewentualnie: „od szczecińczyka do berlińczyka i z powrotem” (w wariantcie żeńskim: „od szczecinika